NUMER 23. DNIA 5. CZERWCA 1904 ROKU. ROK XII.

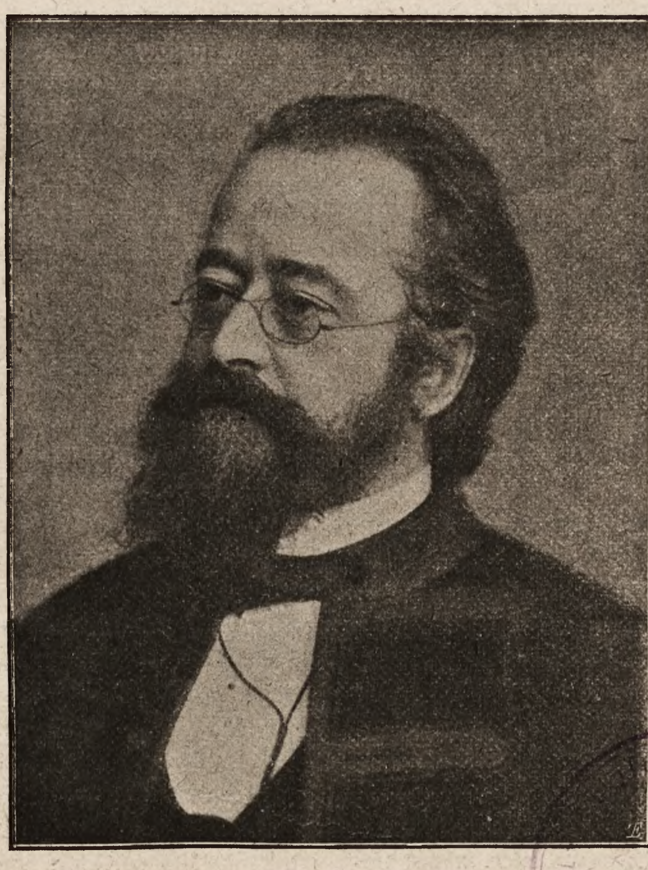
TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

TADEUSZ ROMANOWICZ.

Na pośmiertnej klepsydrze trzy tytuły wydrukowano ś. p. Tadeuszowi Romanowiczowi — szeregowiec powstania narodowego, poseł na sejm i członek Wydziału krajowego. Trzy te określenia wystarczą do scharakteryzowania żywota, którego karta ostatnia tak się nagle w oczach naszych zamknęła.

Szeregowiec powstania narodowego, poseł sejmowy, członek rządu krajowego: przez życie od wczesnego zarania nic, jedno praca publiczna i poświęcenie. W chwili kiedy ofiara życia młodego nie starczyła do wyratowania Polski na polu zapasów orężnych, przyjść musiała druga ofiara, której trwanie długie lata życia, a treścią każde serca bicie, każdy promień myśli i uczucia. I dlatego właśnie spuścizna po nim, tak mało ma cech osobistych, prywatnych, a tak zespoliła się z historją konstytucyjnej Galicji.



TADEUSZ ROMANOWICZ.

Ś. p. Tadeusz Romanowicz był reprezentantem epoki, która piękny rzuciła snop światła na nasze dzieje porozbiorowe i podstawą się stała najnowszej, dzisiejszej chwili. Jako młodzieniec stał na czele młodych i pozostał na tem stanowisku aż do ostatniej chwili życia, kiedy sam i rówieśnicy jego okryli się szronem siwizny i niezawsze już wyczuwali dokładnie najmłodsze tętna polskiej myśli publicznej.

A był on jako reprezentant swojej epoki, postacią jedną z najpiękniejszych i najsilniejszych. Kiedy bowiem popowstańcze prądy demokratyczne wyradzały się niejednokrotnie w krzykliwą i czczą, chociaż nie bez pewnej społecznej wartości „tromtadrację“, która wypełniła cztery ostatnie dziesiątki lat historji galicyjskiej, ś. p. Romanowicz miał zawsze tę wyższość, że za podstawę wszelkich programów brał pracę, pracę rzetelną, wynikającą z głęboko odczutej potrzeby uprzemysłowienia kraju i uspołecznienia miast i że tuż za programem szły u niego czyny, z niesłychaną wytrwałością nizane w grupy i zjawiska. I ta właśnie

możność poparcia każdego słowa równoważnym czynem dawała wymowie jego najsilniejszą moc agitacyjną, stanowiąc równocześnie tajemnicę wszystkich jego krasomówczych powodzeń i całej tej aureoli, która go w oczach mieszkańców stolicy i całego kraju zawsze otaczała.

Boć przecież trudno przypuścić, ażeby same zdolności krasomówcze sprawić to mogły, że jego osoba tyle razy wystarczała za całe programy i żeby „trybun ludu“ lwowskiego mógł takim pozostać przez czterdzieści lat swojej pracy narodowej. Wymowa była tylko środkiem, którego ś. p. Romanowicz używał zawsze należycie dla dobra publicznego i dla poparcia własnej swojej pracy i wytrwałości i dla tego Romanowicz jako mówca i Romanowicz jako działacz polityczny stawał się zawsze jednym taranem, uderzającym z siłą i powodzeniem w twierdzę zacofania w życiu publicznem.

Doświadczenia na polu walki, rozmyślania w więziennej kaźni Ołomuńca, duża wiedza ekonomiczna i czas w wielkie nadzieje brzemienny, utworzyły w ś. p. Romanowiczu ten jednolity charakter, który do ostatniej chwili życia pozostał taki sam jak za czasów młodości. Były czasy, kiedy wyborcy lwowscy ławą huczeli nad jego głową, aby poszedł tam i w tym kierunku, gdzie potrzeba chwili najpewniejszą i prostą wskazywała drogę. W takich chwilach Romanowicz po wyczerpaniu wszystkich argumentów stawał wśród groźnych pomruków z rozkrzyżowanemi ramionami i rzucał słowa: „Takim jakim jestem, zaniesiecie mnie do grobu“. I wówczas przycichała burza i mimowolny budził się szacunek dla męża, który całe życie pozostał samym sobą, tak wsłuchanym w ideały swojej młodości, że nawet ucho przytępiało się na pewne drgnienia teraźniejszej chwili.

Jako mowca polityczny nie wielu miał Romanowicz równych sobie w sejmie galicyjskim. Brakło mu może błyskotliwej swady profesorów szkoły krakowskiej, fajerwerku różnych „ateńczyków“, brakło mu siły i zapału mowców ludowych, ale gdy stanął na miejscu swojem po lewicy sejmowej, gdy po nad głowy siedzących zaczerniała długa broda przedzielona od bujnych na tył głowy zarzuconych włosów błyszczącymi okularami, wówczas cały sejm spieszył słuchać zdań, jakby wprost do druku wyokrąglonych, słów dobitnych, wyraźnych, nawet poszczególnemi sylabami drgających, argumentów prostych, niesłychanie logicznych, powiązanych ze sobą tak ściśle jak przyczyna i skutek, polemiki wytwornej, czasami gryzącej lekką ironją i sarkazmem, a zawsze nie osobistej, nie napastliwej, robiącej wrażenie operacji w balowych rękawiczkach. Czasem jednak, gdy na porządku dziennym znalazła się sprawa zasadnicza, której przyszło ś. p. Romanowiczowi bronić tak od ataków skrajnej prawicy, jak tłumaczyć i usprawiedliwiać przed niezadowoleniem skrajnej lewicy zapalał się on, a z ust płynęły słowa w szybszem, bardziej nerwowem tempie, w którem znajdowało się miejsce na osobiste przycinki i natychmiastowe odpowiedzi na wołania z ław poselskich i poszczególne wykrzyki.

I to właśnie było tragedją myśli politycznej ś. p. Romanowicza, że mu tak często przychodziło szukać złotego wprawdzie, jak twierdzi rzymski poeta, ale tak zato chwiejnego i niepewnego „środka“, owej *aurea mediocritas*. Wychowany i wyszkolony w czasach, kiedy droga do każdej zdobyczy na rzecz myśli demokratycznej usłaną była tysiącem kompromisów, częściowych rezygnacji, długoletniego wyczekiwania, nie wierzył ś. p. Romanowicz nigdy w skuteczność bezwzględnej walki i postawienia kwestji na ostrzu miecza. Stąd też pochodziła ta miękkość uderzenia argumentami nawet tak silnemi jak stal, łatwe zadowolenie nawet z powodu połowicznego zwycięstwa i zbytnia ostrożność nawet po małej przegranej. W tym względzie był śp. Romanowicz typowym przedstawicielem tak zwanej „demokracji starego autoramentu“, a chociaż razem ze swoimi przyjaciołami politycznymi stanowił w obrębie t. z. dawnej lewicy sejmowej, grupę skrajniejszą, grawitującą bardziej ku grupom sejmowym o ideałach ludowych i społecznych, to fakt ten obok silniejszego poparcia jego postulatów, dawał mu niekiedy ciężkie kolizje i gorzkie osobiście zawody.

Mimo to, a może właśnie dlatego postać ś. p. Tadeusza Romanowicza takim powszechnym szacunkiem była otoczona. Żywioły mieszczańsko-demokratyczne uważały go słusznie za swego, stronnictwo ludowe miało w nim swego szczerego przyjaciela, prawa strona Izby poselskiej bała się go wprawdzie, ale nie mogła nie schylić głowy przed pracą, wiedzą i zasługą, czystość wreszcie i prawość charakteru, pobudek i czynów stawiły go wszędzie najlepiej krajowi zasłużonych obywateli i były tą spójnią, która sprawiła, że pogrzeb ś. p. Romanowicza był manifestacją żałoby powszechnej, krajowej.

Fr. Jaworski.

Ruch regjonalistyczny we Francji.*)

Rozmaitość w jedności, oczywiście dobrowolnej, nieprzymusowej, — oto hasło propagandy regjonalistycznej, która dąży do podniesienia życia prowincjonalnego, do wytworzenia silnych podstaw dla samorządu, do uznania prawowitości odmian, które skutkiem różnicy rasowej, dziejowej i ekonomicznej wytworzyły się w rozmaitych prowincjach kraju.

Najwyższą działalność okazują Francuzi południowi. Prezesem komitetu Federacji regjonalistycznej jest dawny federalista, autor dzieła „Fédéralisme“ (1878), twórca niegdyś Związku Łacińskiego, Xavier de Ricard. Do zwolenników regjonalizmu należał i Emil Zola. I rzecz naturalna, że zwłaszcza dawna kraina Langue d'oc, równająca się liczbą ludności niemal reszcie Francji, uczuwa w sobie siły i zdolności, potrzebne do samoistnego życia i rozwoju. Kiedy przed kilku laty podczas uroczystości ludowej w Orange pojawił się Mistral, tłumy tysiączne witały go z trudnym do opisania zapałem, bo dla ludu prowansalskiego nietylko jest on wielkim poetą, lecz także wyrazicielem jego żywotności, jego pragnień na przyszłość. W Tuluzie, tej królowej wspaniałego Langue d'oc, jak ją nazwał niedawno w swej mowie minister marynarki, Kamil Pelletan, jest liczne grono młodych a entuzjastycznych wielbicieli ruchu łacińskiego i uważa siebie, Prowansalczyków, za jedną z najstarszych i najzasłużeńszych latorośli tego wielkiego narodu. Przypominają oni, że wśród głębokich mroków średniowiecza w ich to kraju ocknął się duch ludzki i najwcześniej podniósł rokosz przeciwko dzikiemu barbarzyństwu i gwałtom feodalnym. Wychodząca w Tuluzie „La Vie Toulousaine et Régionale“ prowadzi zawziętą walkę — jak sama powiada: sans trêve ni merci — o samoistne życie prowincji. Tam wychodzi także jeden z najważniejszych organów regjonalizmu „La Revue Provinciale“. „Stowarzyszenie Prowincjonalne“ tameczne wydaje Bibljotekę propagandy regjonalistycznej, złożoną z małych broszur, które rozrzuca po wszystkich kątach Francji.

Federacja Regjonalistyczna istnieje od lat pięciu. Walne jej zgromadzenie, które odbyło się w czerwcu zeszłego roku w Paryżu a było czwarte z kolei, wykazało znaczny wzrost liczby członków. Wszystkie stronnictwa mają tam swoich przedstawicieli. Zmarły niedawno Amouretti, pisarz niepospolitych zdolności, był n. p. monarchistą. Istnieje miesięcznik nacjonalistyczny i zarazem regjonalistyczny: „L'Idée“, w którym Gabrjel Dauchot umieszcza studjum o naszych poetach: Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim pod tytułem: „Les harpes sublimes“. Większość jest jednak demokratyczna w prawdziwem znaczeniu tego słowa, i jeden z najgorliwszych zwolenników regjonalizmu, J. Paul-Boncour, w miesięczniku „La Renaissance Latine“ (15. lipca 1903 r.) dowodzi, że federalistyczny ustrój Francji jest koniecznym warunkiem rzetelnego jej zdemokratyzowania. Organem urzędowym Federacji jest miesięczne pisemko: „L'action régionaliste“. Nadto istnieje około czterdziestu pism i pisemek, które prowadzą propagandę w tym kierunku. Wychodzą one w językach: francuskim, prowansalskim, bretońskim. Wreszcie w rozmaitych pismach i dziennikach pojawiają się artykuły, pisane w sprawie regjonalizmu przez jego zwolenników.

Jakie są żądania regjonalistów i jakiemi argumentami je popierają?

Pierwsze miejsce zajmuje niezaprzeczenie domaganie się nowego podziału terytorjalnego. Liczba departamentów — powiadają — jest nader wielka. Utworzono je w takiej obfitości, ażeby ułatwić stosunek z zarządem centralnym, wówczas kiedy drogi były w dość lichym stanie i kiedy nie było jeszcze kolei żelaznych. Chciano, ażeby podróż do stolicy departamentu nie trwała dłużej nad dzień jeden. Dzisiaj Francja jest cała poprzecinana drogami i ma sieć kolejową 34.000 kilometrów. Tam, gdzie dawniej trzeba było jechać dzień cały, dzisiaj wystarcza parę godzin. Ze względu na liczebność ludności, ogromna zachodzi różnica pomiędzy departamentami: departament Sekwany ma 4,000.000 głów, departament du Nord prawie 2,000.000, są departamenty, które mają zaledwie 400.000, a nawet są takie, co posiadają wszystkiego 100.000. Wreszcie departamenty dzisiejsze są tworami sztucznymi, które nie odpowiadają ani etnicznym, ani geograficznym warunkom, ani też interesom ekonomicznym ludności. Pomimo przeszło stuletniego istnienia podziału dzisiejszego, w narodzie trwa żywa tradycja dawnych prowincji, które z małymi wyjątkami ułożyły się były w naturalnych granicach, i organizacje żywo-

*) Artykuł ten cenzura warszawska wykreśliła w całości z księgi zbiorowej: Myśl, którą redakcja Ogniwa wydaje na korzyść powodzian z ostatniej klęski wylewu Wisły.

tne, wychodzące z łona samego narodu, nie trzymają się granic departamentalnych, lecz wchodzą w związek z sobą podług tych obszarów, które nawyknienia długotrwałe i wspólne potrzeby były wytworzyły.

Trzeba więc przedewszystkiem zmniejszyć liczbę departamentów i wytknąć im granice nie sztuczne, lecz zgodne z tradycją i z potrzebami ludności. Zamiast dzisiejszych 87 departamentów wystarczy 20. Sprowadzi to ogromne zmniejszenie etatu urzędniczego i wielką oszczędność w budżecie. Liczbę gmin (36.000) należy także zmniejszyć, albowiem dzisiejsze są za małe i za słabe, ażeby zdołały same się rządzić w obszerniejszym zakresie. Następnie trzeba podnieść znaczenie Rad departamentalnych i gminnych i rozszerzyć ich pole działania. Zbuduje to podstawę rzetelnego samorządu. Stolice departamentów, uposażone w wyższe szkoły, muzea, bibljoteki, teatry, staną się ważnemi ogniskami umysłowości, które zniweczą szkodliwy wpływ ujednostajniającego zwierzchnictwa Paryża, a natomiast przyczynią się, wzmagając tętno życia prowincjonalnego, do uwydatnienia w życiu narodowem wielu nowych cech oryginalnych. (D. n.)

Bolesław Limanowski.

Santa Lucia.

Przed nami się ciche rozlewa bezdroże
Płyniemy przez morze... płyniemy przez morze
Za gwiazdą naszej tęsknoty złotą...
Płyniemy z tęsknotą, ogromną tęsknotą.
Tam — ląd oddalony nam świta w obłoku —
Płyniemy... płyniemy... kolebią się łodzie
Na słonej mórz wodzie, na sinej mórz wodzie,
A jednak nam cicha łza smutku drży w oku —
Nie wiemy, czy kiedyś do cichej przystani
Zawiedziesz nas Pani?
Czy raczej nas wichrów nie wpędzą orkany
W grób... z fali i piany?
Zwól, niech Twych oczu łaska nam sprzyja...
Santa Lucia!

Przed nami, nad nami drżą gwiazdy w błękicie
I dyszy noc pełna w swych czarów rozkwicie
Tak jasna, tak pełna i brzasków i woni,
Noc spływa z przestworza, ku morzom się kłoni
I dusze nam świętym płomieniem rozpala —
I niesie nas fala, unosi nas fala...
Gdzie płynąć? Nie wiemy!... Ha, płyńmy, gdzie [padło!
Drżą usta modlitwą, z rąk wiosło wypadło —
A barka mknie dalej przez sinych wód morze
Przez czarne bezdroże, gwiaździste bezdroże
I gibko i lotnie skał rafy omija —
Przez szumy wód ciemne,
Przez lęki tajemne
O, prowadź ją, Santa Lucia!

Tam w dali za nami śnią ziemie ojczyste
I czar Neapolu i łąki barwiste,
Gdzie w grobach śnią sławy minionej ostatki,
Tam nasze kochanki i siostry i matki,
Tam — cudniej, niż tutaj, dogasa zórz słońce,
Tam — wargi dziewczyny wilgotne, gorące —
Więc dzika tęsknota nam serce przepala...
O pozwól, niech wróci nas słonych wód fala,
Co łodzie nasze omija,
Ku stronom ojczystym,
Ku łąkom barwistym
Zwróć ster nasz, Santa Lucia!

Tam w światła pożarach lśnią Twoje kaplice,
Za nami Cię proszą kochanki, dziewice,
Byś gwiazdę na niebie zwiesiła okrętom,
Kazała się morskim uciszyć odmętom!
Więc choć gwiazdy zgasną i burza zaryczy,
Twój wzrok nas powiedzie, wzrok pełen słodyczy,
I błękit ciszy nad niemi rozpostrze —!
Przez groźnych raf ostrze
Płyniemy, a z dusz nam modlitwa się wzbija...
Przez szumy wód ciemne,
Przez lęki tajemne
O, prowadź nas Santa Lucia!

TEODOR MIANOWSKI.

MARJA JARMUND. 8)

Nasze ideały w XIX. wieku.

W Królestwie zaraza ta w zatrważający sposób rozszerzyła się po wstąpieniu na tron Mikołaja, w chwili, kiedy raczył swojemi odwiedzinami zaszczycić Warszawę. Chwilę uznano za najstosowniejszą do uzyskania przebaczenia za wszystkie dawne przestępstwa, do okazania lojalnych uczuć i chęci do zgody. Posypały się równocześnie z rozmaitych stron pod adresem społeczeństwa rady, przestrogi i admonicje, w imię nietylko interesu ale i uczuć chrześcijańskich, które nie pozwalają się mścić, każą darować urazy i miłować nieprzyjaciół. Wytoczono działa najcięższego kalibru dla ubicia sprawy i zatrucia ducha w narodzie. Nie omieszkano też uderzyć w chorobliwie dźwięczącą u nas strunę sentymentalizmu, przedstawiając, jak to jest pięknie i wspaniałomyślnie przebaczać krzywdy wrogom, a zarazem jak niemoralnie i nierycersko szkodzić tajemnie nieprzyjacielowi. Słowem argumenty zapożyczone od arystokracji, używającej ich od przeszło stu lat, ażeby się swoim lojalizmem popisać przed wrogiemi rządami. Za największą jednak klęskę moralną trzeba to uważać, że do owej zgubnej działalności, dały się pociągnąć niektóre największe nasze znakomitości umysłowe, posiadające dotąd olbrzymi wpływ na całe społeczeństwo. Ale ponieważ największe zasługi nie mogą równoważyć szkody, jaką nam taka omyłka przynosi, więc należało o niej wspomnieć. Niektóre z pism warszawskich w ugodowym swym zapale, doszły do takich granic, że uznały za stosowne, zapomocą sofistycznych rozumowań uniewinniać przed publicznością Mickiewicza z napisania Konrada Wallenroda, nie czując całej śmieszności takiej obrony. Obejdzie się on bez niej. Za myśl, którą chciał wpoić w swoich rodaków za pośrednictwem Wallenroda, sam weźmie na siebie odpowiedzialność, gdyż wyraził ją z całą samowiedzą tego, co mówi a następnie dobitniej jeszcze w wielu miejscach powtórzył. Umysł zaś jego wtedy najjaśniej, najbystrzej i najdalej w przyszłość spoglądał, nie podlegając późniejszym zaćmieniom chorobliwego mistycyzmu i niezdrowej doktryny. Wówczas tylko był on prawdziwym wieszczem narodowym. Powrócimy jeszcze do tego przedmiotu, aby wykazać, że działając w ten sposób jaśniej widział czego nam potrzeba, niż wszyscy razem wzięci ugodowcy.

Popychanie przez nich narodu do pojednania z wrogiem dlatego tylko, że nie mogąc go zwalczyć od razu, lepiej sobie lojalnością znośne położenie wyrobić, jest obłudnie pod pozorem wyleczenia zadawaną trucizną. Trudno przypuścić, żeby nie wiedzieli, co czynią i nie rozumieli, że prowadzą go do samobójstwa. Czyżby nie znali natury ludzkiej, która raz pogodzona z położeniem swojem, nigdy pęt rozerwać nie potrafi i nie zechce? — bo i pocóż zresztą, ze sprzymierzeńcem i przyjacielem nie walczy się przecież.

Według trójlojalistów „Polska stanęła na gruncie tego prawa bożego, które każe uznawać władzę nawet kiedy ona jest obca, nawet kiedy jest dopustem czy karą“. (Tarnowski). Odpowiemy na to słowami ks. Kalinki, „A znaczy to bluźnić Chrystusowi, gdy Jego się nauki używa do uznania i uczczenia dzieła piekła i szatana!...“ Co to jest za osobliwszego rodzaju logika a zwłaszcza osobliwszego rodzaju pobożność, która każe uznawać Boga za opiekuna złodzieji i rozbójników. Rozwijając ją dalej w tym kierunku dojdziemy do przekonania, że ponieważ wszystko na świecie dzieje się z woli Boga, więc sprzeciwiać się jej w żadnym wypadku nie należy. Ściganie też czy karanie rzezimieszków i morderców, należy do czynów bezbożnych, bo kiedy On im pozwolił zbrodnie takie wykonać, to muszą one być zgodne z Jego wolą.

Sofizmaty tego rodzaju usypiają i morfinują społeczeństwo, nie umiejące się często poznać na całej ich obłudzie. Jednocześnie dadają otuchy obojętnym i lękliwym, którzy słysząc fałszywych proroków, w imię Chrystusa i etyki wzywających obłudnie do zapomnienia o krzywdach narodu i przebaczenia za nie wrogom, czują się we własnym sumieniu usprawiedliwieni. Niedołęztwo zaś i gnuśność z jaką zaniedbują pielęgnowania ideałów narodowych usiłują przedstawić jako mądrość i cnotę.

W chwili kiedy jedni trują nas, nadużywając imienia Chrystusa, drudzy jakby dla zwiększenia zamięszania w umysłach, wyciągają z pyłu zapomnienia dzieła apostołujące z całym cynizmem poddanie się wszystkim instynktom zwierzęcym.

(C. d. n.)



JAN ŚWIERK. 23)

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Dokończenie.)

— Najpoczciwsze dziecko świata, szeptała głosem tłumionym — czy też ty znajdziesz godnych siebie w życiu? Czy też za twoje serce odpłacą ci ludzie tak, jak za miłość płacić winni?...

— Pójdę, ciociu, do tych z sercem, którzy umieją kochać... nie do tych z kamiennego miasta, ale tam — do chat...

— Kuzynko!... — zawołał na to Stach — czy nie znalazłabyś i w mieście serc, godnych twej pracy?

— Może być, ale tu byłabym, jak ptak w niewoli, jak ten kwiat przez macochę wygnany... Obaczysz, ciociu, jak na wakacje ze mną pojedziesz do wioski cichej, jak ją pokochasz, jak do niej się przygarniesz...

— Siedmnaście lat już na wsi nie byłam — szepnęła ciocia.

— Siedemnaście lat!... Jakże żyć można, jakże można być zdrową!... Ciągle w dusznem, ciasnem powietrzu, ciągle wśród dymu, murów i kamieni... Pojedziesz, ciociu, ze mną, wezmę i Janka i Adasia — cudne będą wakacje...

I pobiegłam do cioci, objęłam ją za szyję — całuję serdecznie. Ciocia zaś, podniósłszy na mnie łez pełne oczy, pyta:

— A wuj?...

Zdawało mi się w tej chwili, iż widzę tego wuja, uwieszonego na ramionach ledwie żywej ciotki, wuja pijanego, siinego, ze złością na twarzy, który, uwieszony na barkach kobiety, wszystko z domu bierze, co jej na pożywienie dają, każdą kroplę wody wypija, która ją ma orzeźwić, każdy atom powietrza połyka, aby jej go nie dać, a sobie dogodzić.

Odeszłam do okna.

Wpatrzyłem się w tło ciemnego nieba i nic nie chciałam mówić, słuchać, wiedzieć...

Stach przybliżył się... mówi, pyta, czeka... ale ja nic i nic...

— Jadwiniu — szepce Stach po długiej chwili — czy gniewasz się o co?

— Gniewam się... mam żal do was, do wszystkich ludzi, którzy mogą robić dobrze, a nie chcą... Czemu ty, mając pióro w ręku, pracując w dzienniku nie poruszasz myśli ludzkich tak, aby poczynały kochać bliźnich, aby wykorzeniały zło, aby sprawiedliwość siały... Piszecie i piszecie wiele o tem, co jest dziś i jutro przyjdzie, ale mówcie ludziom o tem, co być ma na świecie.

— Jadwiniu!... idź razem ze mną w życie, a pomożesz mi i nauczysz...

— Czy i ty potrzebujesz ramion kobiety do uniesienia ciężarów życia?

Cały dom w zamieszaniu, ciocia płacze, ja nie wiem, co się dzieje...

Przepadła sztuczka ślicznej, jedwabnej materji, którą przed trzema dniami ciocia dostała do roboty. Dziś ciocia miała suknię krajać, idzie do szafy — materji niema.

Szukają, otwierają szafy, komody, kufry, w każdy kąt zaglądają, patrzą pod szafy, za szafy, może się gdzie zasunęła, ale niema i niema.

Co za nieszczęście!

Ciocia będzie musiała materję odkupić, ale skąd pieniądze? Trzeba najmniej z 30 zł. na to...

Posądzenie pada na najmłodszą panienkę, która niedawno do szycia chodzi, ale dziewczę płacze, żali się, narzeka, iż chcą ją o złodziejstwo oskarżyć, mnie zaś zdaje się, że ona zupełnie niewinna.

Żal mi tylko cioci, bo dla niej to cios okropny!...

Olga ma wrodzone zdolności, niejeden raz przy lekcji na moje uwagi takie daje odpowiedzi, iż cieszą mię one. Ale zaraz przypominam sobie prośbę jej matki, aby nie robić z niej myślącej i uczonej.

Teraz na wiosnę, zasypała ją znów matka stosami materji na suknie, na bluzki, na szlafroki i tak omotała ją, iż od dwóch dni, gdy przyjdę na lekcję, ona mi swoje materje znosi, do twarzy przykłada, przed oczy stawia i niemi tylko zajęta.

Przyszło mi na myśl spytać, czy długo ją nowe suknie cieszą.

— O!... nie bardzo!... gdy obaczę w parku lub w teatrze inne ładniejsze, zaraz do swoich gust tracę. Wiesz, przyznam ci się szczerze, iż gdy widziałam cię w seminarjum przy zdawaniu egzaminu, nie miałam odwagi podziękować ci za podpowiadanie, tak mię odtrącał twój strój... Wy ze wsi, dla nas miastowych wydawałyście się tak biedne, niezgrabne, niemodne, iż z trwogą myślałyśmy, co by to było, gdybyście zostały koleżankami naszemi. Teraz — żałuję i radabym być lepszą...

Może od wakacji będziemy w jednej klasie, wtedy swobodniej snuć będziemy myśli...

— Ja — zdaje się przestanę chodzić do seminarjum.

— Wychodzisz za mąż?

— Jeszcze na pewno nie wiem, ale tak zanosi się...

— Jerzy?...

— On! Będziesz bratową moją.

— Ja? skąd?

— Nie wypieraj się! Jerzy mi mówił, Stach oświadczy się temi dniami...

— To jeszcze kwestja, czy ja będę jego żoną.

— Nie udawaj!... Niema tak naiwnych, którzyby przypuszczali, iż biedna panna odrzuci partję bądź co bądź dobrą, literat, uczony, poczciwy...

— Za wysokie progi...

Ciocia zastawiła zimowe palto, zegarek pamiątkowy, dwie poduszki, pożyczyła u modniarki 10 zł. i sztuczkę odkupiła. Szyjemy teraz tę nieszczęsną suknię.

Co na nią spojrzę, czuję ból w oczach, w myśli, w czuciu..,

Kto to mógł okraść tak biedną ciotkę, kto to mógł zrobić coś tak potwornie nikczemnego!...

Matka posądzanej dziewczynki dwa razy przybiegła z płaczem żałosnym, aby usprawiedliwić dziecko:

— My som biedni, my z centa żyjemy, my głodu zaznamy nie raz, ale w uczciwości żyjemy i na duszy nie chcemy grzechu.

Ciocia przeprasza kobiecinę za mimowolnie sprawioną przykrość i jedwabną suknię szyje, choć zdaje mi się, że słabszą jest co dzień.

Salon mód roi się od gości.

Wiosenne słońce wymaga strojów świeżych, jasnych i lekkich.

Znów poczyna się przesuwać fala pań, panien, panienek, a wszystko woła i spieszy:

— Mnie na wtorek!

— Dla mnie na czwartek!

— Nasze muszą być na niedzielę!...

A ciocia wczoraj kilka razy krwią splunęła, dziś ma gorączkę, wypieki na twarzy.

Wezwałam lekarza, on powiada:

— Spoczynek i świeże powietrze.

Ciocia leży... wybuch krwi powtórzył się silniejszy. Żadnej pomocy, opieki ani wsparcia.

Żadnego przytuliska dla biednych, spracowanych szwaczek i krawczyń, żadnej kasy na udzielenie pożyczki...

A w salonie mód panie przebierają żurnale i radzą a radzą:

— Takie rękawy!

— Taki fason spodnic!

— Takie kołnierze!...

Marysia, czyszcząc surdut wuja, zgubiła jakąś kartkę. Znalazł ją Janek i przynosi do mnie:

— Popatrz Jadwiniu, może to bilet do teatru.

Struchlałam!

To kartka zastawnicza na sztuczkę jedwabnej materji.

Zmięłam ją w ręku i ukryłam starannie.

— Niepotrzebny list — wyrzucę go.

— Janek poszedł się bawić na podwórko ciemne, a ja ukrywszy się za firanką okna czytam jeszcze raz i jeszcze raz kartkę, bo uwierzyć nie mogę, czy prawdą to, co widzę.

Nie ma się co łudzić. Wuj zastawił materję jedwabną, a ciotka zastawiła resztę mienia, aby materję odkupić.

Ciocia znów szyje — zwlecze się z łóżka — trzymając się krzeseł lub ściany, dojdzie do maszyny i pracuje.

Mieszkanie nie płacone, pannom się należy.

Stach stara się o pożyczkę, aby dać cioci na wyjazd do kąpiel. Jerzy myśli gdzieby umieścić Adama w internacie lub w schronisku.

Spałam w saloniku, gdy zbudził mię jakiś jęk głuchy. Przybiegam do pracowni, ciocia na maszynie oparła głowę i ciężko oddecha.

Spojrzę na zegarek, już 3-cia nad ranem...

— Ciociu! poszę iść do łóżka... niech się ciocia nie dobija pracą, sił na to nie ma...

— Ciociu! proszę powstać, odprowadzę ciocię do łóżka, gorzej będzie, jak się ciocia przemęczy...

Lecz ciocia nie słyszy...

Chcę ją podnieść — widać omdlała, bo sztywną jest... Ciociu!... zbudź się...

Wołam — podnoszę... na Boga... ona nie żyje!...

. . . .

„Salon mód“ zmienił swój wygląd... Zamiast rozwieszonych na szaragach tualet najmodniejszych — wisi czarny kir do okoła. Zamiast żurnali tak chciwie chwytanych przez piękne panie, stoją lichtarze i świece woskowe, a biedna krawcowa zmęczona pracą spoczywa.

Te, które ona ubierała, nie przyjdą zmówić paciorka za jej duszę. Te, którym ona służyła lat tyle

nie szepną może nawet: — szkoda jej... Cóż to znaczy? Zabrakło tej — znajdzie się dziesięć innych...

Niech spoczywa!...

Do mnie tulą się spłakane dzieci. Maryśka wierna łzy ociera, a „jego“ nie ma.

Kto wie, czy się dowie o jej śmierci jeszcze przed pogrzebem...

Tragedja życia — odgrywana długo. Ale bohaterce nikt wieńca nie podał...

Niech spoczywa!

. . . .

. . . .

Już czerwiec. Mieszkam z Kasią u furmana. Pierwszy rok seminarjum kończę za dni kilka i jadę do mojej wioski na wakacje.

Przed tygodniem były zaręczyny Olgi z Jerzym...

Ta Gienia, co dawniej u cioci szyła, umarła także. Powiadali, iż gardlane suchoty miała. Adaś jest w internacie. Stach za niego płaci, a Jańcia wzięła modniarka Rzepkowska, poczciwa kobieta.

Poszłam na cmentarz pożegnać grób cioci.

Długo nad nim stałam i rozważałam tajemnicę życia — śmierci — wieczności...

Niech spoczywa...

Ofiara zawodu, jedna z tysiąca...

Słyszę kroki, to Stach nadchodzi.

— Jutro jedziesz Jadwiniu?

— Tak... Przeżyłam 10 miesięcy ciężkich i gorzkich... życie otwarło przedemną karty swych ksiąg strasznie posępnych...

— I tyś przecierpiała nie mało...

— Bo miasto jest jak „salon mód“. — Ludzi pozorami — a w pracowni nędza, trud i krzywda.

— Wszędzie się one znajdą...

— Lecz wszędzie powinniśmy rozpocząć walkę o to, aby biednym łzy osuszono, spracowanym dano odpoczynek, za trud płacono sumiennie...

Już pociąg ruszył, gdy Stach jeszcze wołał do mnie:

— Czy wrócisz do miasta?...

— Aby skończyć nauki i iść na wieś...

— A gdy cię kto w drodze zatrzyma?

— Nie rychło to się stanie... Do widzenia!

— Do wi — dze — — nia!...

Jak mgła już widne w dali miasto... a choć co raz bledsze i mniejsze, jeszcze mi się zdaje, że czytam gdzieś w górze zawieszony napis duży: „salon mód“.

Zakryłam oczy i łez gorących strugę uczułam na twarzy...

Przeżyłam wiele... o!... i wiele nauczyłam się!...

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI.

Świętek Jan. Sierota, powieść. Kraków. 1904. Autor wyczerpujących monografji etnograficznych — „Ludu nadrabskiego“ i „Zwyczajów i pojęć prawnych“ pokusił się o napisanie powieści, do której treści dostarczyło życie ludu wiejskiego, dla którego ją też przeznaczył. Rzecz ta odbiega całym tonem swoim i sposobem przeprowadzenia akcji od podobnych wydawnictw ludowych, czy to „Macierzy polskiej“ czy „Wydawnictwa dziełek ludowych“. Znać odrazu, że autor jej wyszedł z pośród ludu, że zna go doskonale i umie stosownie dla niego opowiadać. Równocześnie ukazało się drugie wydanie tej powieści, cenzuralne dla Królestwa. *S. Z.*

NOTATKI. *Nieznana korespondencja.* Dr. Tad. Grabowski, docent historji literatury polskiej, przebywający obecnie na studjach naukowych w Paryżu, odkrył w Bibljotece Narodowej cały szereg nieznanych listów Stanisława Augusta pisanych do agenta Mazzeya i zawierających wiele ciekawych szczegółów do historji lat 1789 i 1791.

Z historji sztuki. Na ostatniem posiedzeniu Komisji do badania historji sztuki w Polsce, przedłożył dr. Finkel cztery berła Uniwersytetu lwowskiego z r. 1817, sprawione na uroczystość ponownego otwarcia Uniwersytetu, prof. Bołoz Antoniewicz nadesłał komunikat o obrazie znajdującym się w posiadaniu arcybiskupa ormiańskiego we Lwowie a przedstawiającym św. Rodzinę z osobami fundatorów Ormian z r. 1612. Obraz ten jest kopią św. Rodziny Andrea del Sarta, a najciekawsze są domalowane trzy modlące się postacie u dołu, ubrane w mieszczańskie stroje XVII. wieku. Po typach poznaje się odrazu Ormian.

ZAPISKI BIBLJOGRAFICZNE.

— Brückner Aleksander. Literatura religijna w Polsce średniowiecznej, tom III. Legendy i modlitewki, szkice literackie i obyczajowe. Warszawa. 1904. 8-ka, str. 187.

— N. E. Dokumenta urzędowe do historji gospodarstwa moskiewskiego w Polsce (od roku 1734—1866). Wydanie wznowione. Kraków. 1904. 8-ka. str. 121.

— Na powodzian, księga zbiorowa prac literackich i artystycznych, wydana pod kierunkiem literackim Stasława Graybnera. Warszawa. 1904. 8-ka, str. 394.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.